

Wyludnianie małych miast: czy zdążymy wyhamować przed przepaścią?



Marcin Skrzypek

Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”,
Członek Rady Programowej Kongresu Obywatelskiego



Wojciech Kłosowski

specjalista ds. rozwoju lokalnego, ekspert strategiczny
Związku Miast Polskich, Członek Rady Programowej
Kongresu Obywatelskiego

Problem migracji ludności z małych miasteczek i terenów peryferyjnych do większych ośrodków miejskich z roku na rok narasta. Wciąż jednak nie jest traktowany poważnie przez decydentów. Prowadzone są pobieżne, niedokładne badania na temat motywacji opuszczania prowincji. Nie dąży się też do wzmacniania poczucia sprawczości u mieszkańców oraz realnego wyrównywania szans na spełnienie życiowych aspiracji i planów. Co zrobić, by zwiększyć prestiż małych miejscowości? W co warto zainwestować? Jak wyrównać szanse rozwojowe? Dlaczego tak istotne jest docenienie lokalnych działaczy i ich wiedzy na temat funkcjonowania danych społeczności? Czy istnieje jakakolwiek nadzieja na powstrzymanie ekspansji kryzysu osiedleńczego w Polsce?

Marcin Skrzypek: Jakie jest Twoje pierwsze skojarzenie z problemem kryzysu osiedleńczego w Polsce, czyli ucieczki ludności z prowincji do większych miast?

Wojciech Kłosowski: Że statystyka kłamie i pozwala nie dostrzegać prawdziwej skali problemu. To moje pierwsze skojarzenie. Kiedy patrzymy na statystykę migracji, wydaje się nam, że z małych i średnich miast migruje mniej niż 1% ludności, więc to niewiele, bo 99% zostaje. Ale statystyka pokazuje ilości, a nie jakości – nie pokazuje tego, kto w istocie migruje. Z moich wywiadów badawczych i obserwacji wynika, że migrują osoby najdynamiczniejsze, z największym potencjałem osobistych szans rozwojowych.

To m.in. młodzi wybierający się na ambitne studia w odległej metropolii, z której nie wracają już do swojego miasteczka. Ale też rodziny, które pragną, aby ich dzieci rozwijały się w polu szans wielkiego miasta. To również kompetentni specjaliści, którzy za swoją wiedzę chcą zapłaty, jakiej nie da im lokalny rynek. Wreszcie – niespokojne duchy, osoby barwne i kreatywne, o indywidualnym, niestandardowym stylu życia, które często czują się lepiej wśród różnorodności kulturowej wielkiego miasta.

Wszystkich tych osób – ambitnej młodzieży, młodych rodzin, specjalistów i osób kreatywnych – małe czy średnie miasto potrzebuje jako kluczowego czynnika własnego rozwoju. Ubywa 1%, ale to trochę tak, jakbyśmy z przepisu na jakąś potrawę usunęli 1% jej składu, czyli wszystkie przyprawy. Pozostanie prawie ta sama porcja, tyle że nijaka i bez smaku.

Jako oficjalny powód wyjazdu z prowincji migrujące osoby często podają pracę czy studia, bo my – ludzie – chcemy, aby nasze decyzje były postrzegane jako racjonalne. Jednak w wywiadach pogłębionych pojawiają się inne przyczyny: marzenia, których nie ma jak spełnić w małym mieście, pragnienie wyrwania się z przytłaczającej prowincjonalności, potrzeba odetchnięcia wolnością. Część mówi: „nie wiem, dlaczego; po prostu się tu duszę”. Więc jest to równocześnie pęd ku czemuś i ucieczka od czegoś.

”

Migrujące osoby jako oficjalny powód wyjazdu z prowincji często podają pracę czy studia. Jednak w wywiadach pogłębionych pojawiają się inne przyczyny: marzenia, których nie ma jak spełnić w małym mieście, pragnienie wyrwania się z przytłaczającej prowincjonalności, potrzeba odetchnięcia wolnością.

MS: Czyli jest gorzej i inaczej niż powszechnie myślimy. Moim pierwszym skojarzeniem jest *Diuna* Franka Herberta, a konkretnie jej charakterystyczna atmosfera fatalizmu i determinizmu. Główni bohaterowie widzą, że czeka ich katastrofa. Nadchodzi ona jednak bardzo powoli, tak jakby było mnóstwo czasu, żeby jej zapobiec. Mimo to z góry wiadomo, że nic się nie da w tej sprawie zrobić. Tak już musi być. Podobny ton obserwuję w analizach kryzysu osiedleńczego: próbom opracowania środków zaradczych towarzyszy konstatacja, że i tak się to nie uda. I to jest według mnie główny problem zapobiegania temu kryzysowi. Z takim nastawieniem nie ma sensu o tym rozmawiać.

Albo gęsta, zdecentralizowana sieć osiedleńcza w Polsce jest dla nas wielką wartością, albo nie. Jeśli jest, to należy podjąć adekwatne do jej wartości kroki. Jeśli wciąż ich nie robimy, to może jednak nie jest dla nas istotna – wówczas zostawmy tę sprawę. Niech ją zetrze niewidzialna ręka rynku.

WK: Będąc niepoprawnym optymistą, nie do końca wpisuję się w fatalistyczne przesłanie *Diuny*. Ale zdaję sobie sprawę, że jestem wyjątkiem i masz pełną rację, mówiąc o tonie rezygnacji brzmiącym zarówno w raportach badawczych, jak i wypowiedziach polityków, którzy ciągle powtarzają: „i tak się nie uda”. Wydaje mi się, że w takiej sytuacji potrzebujemy pogłębionych badań na temat tego, co skłania ludzi do pozostania w małych miastach.

Obawiam się niestety o jakość metodyczną takich badań: metody ilościowe odrzuciłbym od razu, bo nie da się ilościowo badać, np. marzeń ludzkich. Natomiast badania jakościowe generują inną barierę, mianowicie: ludzie zapytani przez badacza o swoje motywacje mają prawo nie znać na razie konkretnej odpowiedzi. Mają prawo mieć do tej sprawy jakiś emocjonalny stosunek, bez uporządkowanej refleksji na ten temat. Wówczas podadzą takie powody, które wydają im się poprawne: praca, studia itp. Żeby dotrzeć do własnych, głębszych motywacji faktycznie determinujących ich decyzje, będą na ogół potrzebowali rozmowy i czasu. A z nimi przecież nikt nie rozmawia. Więc może chodzi nie tyle o badanie, co o jakiś wieloetapowy proces deliberacji. Niech refleksja tych, którzy zdecydują się pozostać, dojrzewa w swoim tempie.

MS: Może jest to miejsce na panel obywatelski? Na przykład w formie kolegialnej decyzyjności, której zaletą jest właśnie poświęcenie dużej ilości czasu na dogłębny i publiczną analizę złożonego problemu i jego ocenę przez zwykłych ludzi myślących o wspólnym dobru. Są oni wybierani losowo z różnych grup społecznych, trochę jak sędziowie przysięgli, aby zapewnić zrównoważoną reprezentację opinii. Taki panel daje też konkretny rezultat w postaci propozycji rozwiązań¹.

¹ Ostatnio tę formę promuje m.in. Fundacja Stocznia; zob. innowacjespoleczne.pl.

Wracając zaś do statystyk, przydałoby się jakieś słowo określające postawę polegającą na celowym pozostaniu gdzieś. Jak ktoś wyjeżdża albo przyjeżdża, to wiemy, jak go nazwać: migrant, emigrant, imigrant. A jak się nazywa czynność pozostania i ktoś, kto zostaje, bo np. chce działać lokalnie? Wyodrębnienie pojęciowe takiej postawy bardzo by ją dowartościowało. Patriotyzm lokalny brzmi trochę straceńczo.

Zastanawiam się też, jak nazwać te hipotetyczne, miękkie, subiektywne, psychologiczne przyczyny zniechęcające ludzi do migracji, tak aby były przekonujące dla decydentów, którzy nie potrafią dostrzec tej sfery w człowieku i jej wpływu na wybory ekonomiczne.

WK: Ja chętnie używam pojęcia „pole szans”. Namawiam do rozumienia rozwoju lokalnego jako procesu wzbogacania pola szans indywidualnej samorealizacji poszczególnych mieszkańek i mieszkańców. Takie podejście do rozwoju jest obecne wśród co światlejszych ekonomistów już od dawna. Jeśli laureat ekonomicznego Nobla – Amartya Sen – pisze, że rozwój można pojmować jako miarę wolności, którą cieszą się ludzie, to mamy do czynienia właśnie z takim podejściem. Praktyka też ma już przetarte jakieś pierwsze ścieżki.

W niektórych programach rewitalizacji, przynajmniej w tych najlepszych, mamy elementy systemowej deliberacji z mieszkańcami na temat poprawy jakości ich życia. Możemy też pochwalić się przykładami dbania o ich sprawczość: o to, żeby mogli czuć się współautorami ulepszania swojego otoczenia i swojego życia, a nie biernymi obiektami działań władz miejskich.

MS: Wszystko byłoby łatwiejsze, gdybyśmy znali właściwe znaczenie rewitalizacji, tzn. nie zepsuli go, stosując w zastępstwie słowa, takie jak: remont, odnowa czy renowacja. Gdyby rewitalizację nazywać poszerzaniem pola szans, to może jej rozumienie nie uległoby dewaluacji? Miejsce wymaga rewitalizacji, gdy ludzie nie chcą już dłużej w nim przebywać, niezależnie od tego, czy chodzi o plac, skwer, dzielnicę czy całe miasto. Z miejsc, które wymagają rewitalizacji, mieszkańcy po prostu uciekają, ponieważ nie chcą wiązać z nimi swojej przyszłości. Poszerzanie pola szans sprawia, że ten proces się zatrzymuje, a potem ma szansę się odwrócić. To przywraca nadzieję – realny żywioł, który uruchamia społeczne zasoby, których istnienia nawet byśmy nie podejrzewali. Jest ona zupełnie niedoceniana jako narzędzie rozwoju. Wokół niej dopiero można ogniskować działania i szukać rozwiązań.



Wszystko byłoby łatwiejsze, gdybyśmy znali właściwe znaczenie rewitalizacji, tzn. nie zepsuli go, stosując w zastępstwie słowa, takie jak: remont, odnowa czy renowacja. Gdyby rewitalizację nazywać poszerzaniem pola szans, to może jej rozumienie nie uległoby dewaluacji?

Doświadczenia rewitalizacyjne pokazują, że nadzieję na dobrą przyszłość w miejscu życia mogą przywrócić mieszkańcom czasem bardzo proste i niepozorne działania, które budują wiarygodność i stabilność naszego miejsca zamieszkania, tak abyśmy czuli się w nim jak gospodarze na długie lata, a nie ekspaci. Na przykład legalizacja samowolek budowlanych na obszarze od zawsze przeznaczonym do rewaloryzacji, która nigdy nie nastąpi. Nagle ludzie widzą, że ich prowizoryczne rozwiązania stają się czymś trwałym; że nie przyjdzie jakiś deweloper i nie wysiedli ich. Albo dopłaty do własnych inwestycji, remontów itd. Wtedy może się okazać, że biedni mieszkańcy mają pieniądze, tylko zawsze było im szkoda je inwestować, bo nie uważali tego za opłacalne. Ludzie kierują się swoim interesem ekonomicznym. Ucieczka z małych miast jest jak dla nich jak sprzedawanie akcji tracących na wartości. A to zawsze wywołuje sprzężenie zwrotne, spiralę wyprzedaży. Akcje małych miasteczek na rynku życia ludzi można też wypromować. Wszystko oczywiście zależy od kontekstu, każda sytuacja wymaga indywidualnego potraktowania.

WK: „Przywracanie nadziei” – bardzo podoba mi się to hasło. Da się pod nim odczytać gorzką, ale bardzo trafną konstatację: skoro tę nadzieję trzeba przywracać, to znaczy, że jej na razie nie ma; że społeczność lokalna ma poczucie swoistej rezygnacji i beznadziei, a także – co jest tu bardzo ważne – braku sprawczości.

„Tu wszystko chyli się ku upadkowi” – to mówi brak nadziei. A poczucie braku sprawczości dodaje: „i nic nie możemy na to poradzić”. Dramatycznie rośnie zapotrzebowanie na eksperckie podpowiedzi z zewnątrz, od czego i jak zacząć pokonywanie tego kryzysu.

MS: A co byś z tym problemem zrobił w pierwszej kolejności? Jeśli o mnie chodzi, to zająłbym się wyrównywaniem nierówności w celu podniesienia atrakcyjności osiedleńczej prowincji. Fakt, że ludzie na prowincji nie mają równego – czyli satysfakcjonującego – dostępu do usług publicznych (takiego, jaki mają mieszkańcy miast, szczególnie tych wielkich) nie jest tematem tylko reportażowo-publicystycznym, ale przede wszystkim etycznym.

Doprowadzanie do takich nierówności i nierobienie z nimi niczego jest czymś głęboko niemoralnym. Niby jesteśmy równi, płacimy takie same podatki, ale jak urodziłeś się w miasteczku, to wiadomo, że masz przechłapanie. I to potem odbija się na wyborach. Jeden ma więcej życiowych możliwości, więc czuje się ważniejszy i mądrzejszy, drugi mniej, ale zapominamy, że obaj dysponują po jednym głosem. Nie będzie więc miało znaczenia, czy ci w lepszej sytuacji, lepiej wyedukowani itp. głosują rozsądniej, bo i tak przegrają wybory, jeśli tych, których dotyczą nierówności, będzie choć o 1% więcej. Sprawiedliwe traktowanie wszystkich obywateli i obywaterek przez państwo można porównać do praw człowieka, które nie wymagają żadnej argumentacji. To imperatyw moralny weryfikujący podstawy naszej demokracji, w której równość nie może odnosić się tylko do urn wyborczych.

WK: Chciałbym, żeby świat działał tak, że decydenci robią rzeczy słuszne moralnie i nie potrzebują do tego dodatkowej motywacji. Ale życie uczy, że lepiej jest pokazywać opłacalność właściwych działań. Osobiście zawsze używam argumentu unikania marnowania potencjału, np. w zakresie edukacji, gdzie bardzo łatwo pominąć uzdolnione dzieci. Rzecz w tym, że w środowisku o osłabionych szansach rozwojowych takie wybitnie zdolne dzieci mają dużo mniejsze szanse na odkrycie ich zdolności przez dorosłych i na inwestycję w rozwinięcie tych zdolności. A przecież mogłyby być w przyszłości genialnymi przedsiębiorcami, sportowcami czy gwiazdami świata kultury. Dbalność o wyrównanie ich szans, kiedy są jeszcze dziećmi, to inwestycja w przyszłe dochody lokalnego budżetu. No i równie ważne jest przecież, że taki ktoś, kto odniósł osobisty światowy sukces dzięki wsparciu swego miasta, jest najlepszą żywą reklamą, że warto w nim mieszkać. Kto wie na przykład, jaka część rodziców młodzieńców, zdolnych tenisistek zastanawia się w tej chwili nad przeprowadzką do Raszyna?

”

W środowisku o osłabionych szansach rozwojowych wybitnie zdolne dzieci mają dużo mniejsze szanse na odkrycie i rozwijanie swoich zdolności. Dbalność o wyrównanie ich szans, kiedy są jeszcze dziećmi, to inwestycja w przyszłe dochody lokalnego budżetu. Osoba, która odniosła osobisty światowy sukces dzięki wsparciu ze strony swojego miasta, jest najlepszą żywą reklamą tego, że warto w nim mieszkać.

MS: Przyszłość dzieci, równe szanse dzieci – to świetny argument. Dla mnie dobrym przykładem działań zwiększających atrakcyjność osiedleńczą jest postulowanie przejścia z dotychczasowego modelu polaryzacyjno-dyfuzyjnego na globalizacyjno-redystrybucyjny². Co prawda już w latach 70. wykazano, że model polaryzacyjno-dyfuzyjny nie działa i według niektórych nigdy tak naprawdę nie był zastosowany w Polsce. Wyraża on jednak pewną obowiązującą wiarę, że trzeba inwestować w te miejsca, które dają najlepsze widoki na dobry zwrot, a reszta jakoś się ułoży.

² Raport roboczy grupy eksperckiej kongresu polityki miejskiej ds. nowej krajowej polityki miejskiej, red. K. Janas, 7.11.2019, https://obserwatorium.miasta.pl/wp-content/uploads/2019/11/2019-11-07_KPM_NOWA_KRAJOWA_POLITYKA_MIEJSKA-raport-roboczy.pdf [dostęp online].

WK: Tak, polaryzacja następuje sama i do tego nie trzeba żadnego modelu: wielkie miasta stają się biegunami rozwoju w tym sensie, że bardzo skutecznie wysysają szanse rozwojowe z otoczenia. Za to dyfuzji w przeciwną stronę, czyli przepływu potencjału rozwojowego z wielkich miast do ich otoczenia, jakoś nie widać.

MS: Dyfuzja to proces spontanicznego wyrównywania stężenia roztworu. W wersji ekonomicznej musiałyby to polegać na samorzutnym rozprzestrzenianiu się pieniędzy i szans rozwojowych między metropolią, gdzie ich stężenie jest większe, a peryferiami, gdzie jest ich zdecydowanie mniej. Owszem, częściowo to się dzieje, ale równoległe z pogarszaniem atrakcyjności obszarów na negatywnym biegunie polaryzacji. Innymi słowy, ludzie do pieniędzy przemieszczają się szybciej niż pieniądze do ludzi.

WK: Więc spontaniczna dyfuzja potencjałów to mrzonka. Potrzebna jest świadoma, planowa redystrybucja.

MS: Tak, w modelu globalizacyjno-redystrybucyjnym chodzi o to, żeby inwestować w miasta zdolne doszłusować do poziomu globalnej gry ekonomicznej, ale jednocześnie podejmować celowe działania wspierające słabsze ośrodki – właśnie po to, żeby ich nie tracić.

WK: Pytanie, co powinno podlegać redystrybucji? Oprócz oczywistej redystrybucji środków, warto by też redystrybuować prestiż. W tej chwili ktoś może widzieć zalety przebywania w małym miasteczku, ale gdy znajdzie się w wielkomiastowym tłumie, czymś oczywistym staje się dla niego, że to właśnie w metropolii prawdopodobnie znajdzie więcej okazji do rozwoju, lepszą pracę, spotka różnych interesujących ludzi. To jest ten czar – te światła wielkiego miasta.

Myślę, że obiecującym pomysłem byłoby rozproszenie różnych centralnych organów administracyjnych. Przykład Bydgoszczy i Torunia czy Gorzowa Wielkopolskiego i Zielonej Góry pokazuje, że jedno województwo może mieć dwie stolice i swoje organy administracyjne w dwóch miastach. Czemu więc nie zrobić tak we wszystkich województwach? Ministerstwo Przemysłu w Katowicach to dobry początek. A inne organy centralne? Warto myśleć o ich rozśrodkowaniu. Kiedyś może był to problem, ale dziś, przy cyfryzacji usług i obiegu dokumentów oraz łatwości spotkań zdalnych, nie byłby to żaden problem.

MS: A przy okazji byłoby konkretne zastosowanie publiczne dla rozwoju tego rodzaju łączności. Bo niestety, ale telespotkania wciąż są często wyzwaniem technicznym. Nie da się jednak ukryć, że gęsta sieć osiedleńcza wymaga też redystrybucji pieniędzy. Inaczej ludzie sprzedadzą swoje ziemie i mieszkania, na skutek czego w polskich miasteczkach pojawi się wiele nieruchomości należących do globalnych funduszy inwestycyjnych. Z tych samych powodów (żeby pola nie zarastały i regiony się nie wyludniały) są dotacje unijne do rolnictwa. Wystarczy zrobić listę 100 pomysłów na takie działania i wybrać z nich np. 10.

WK: Należy jednak omijać takie rozwiązania, które tylko pozornie pompują pieniądze w miasteczka lub zwalniają je z ciężarów podatkowych, a tak naprawdę dochodzi do wyprowadzania tych środków do centrum. Przykład: strumień pieniędzy na aktywizację lokalnych organizacji pozarządowych, który konsumuje w całości firma z Warszawy prowadząca szkolenia nie najwyższej jakości. Produkt zrobiono, ale rezultat z tego żaden.

Te pieniądze muszą być w jak największej części wydawane lokalnie, by zasilać lokalny obieg. Kiedyś organizowałem warsztaty z samorządowcami, którzy zwrócili uwagę na ten problem. Zaproponowałem im wtedy, żeby sami zaczęli wymyślać sposoby na hakowanie takich dotacji czy ulg przez podmioty zewnętrzne, a potem od razu wymyślali rozwiązania to uniemożliwiające. Okazało się, że udało im się zastosować sporo rozwiązań odpornych na manipulacje.



Gęsta sieć osiedleńcza wymaga redystrybucji pieniędzy. Inaczej ludzie sprzedadzą swoje ziemie i mieszkania, na skutek czego w polskich miasteczkach pojawi się wiele nieruchomości należących do globalnych funduszy inwestycyjnych. Należy jednak omijać rozwiązania, w których dochodzi do wyprowadzania tych środków do centrum. Muszą być one w jak największej części wydawane lokalnie, by zasilać lokalny obieg.

MS: To normalne działanie projektowe, które polega na testowaniu prototypów. Regulacje, o jakich mówisz, też powinny mieć swoje prototypy, które możemy testować w wyobraźni. Zresztą podobnie doskonalili się zabezpieczenia programistyczne: wynajmując hakerów do ich łamania. Z naszym polskim sprytem w obchodzeniu przepisów sami jesteśmy w stanie wyszukiwać słabe strony takich rozwiązań. Ale możemy też wynająć do tego zawodowców.

WK: Ważni są jednak nie tylko pojedynczy ludzie, ale też relacje społeczne między nimi i pewne kulturowe paradygmaty, które w jakiś tajemniczy sposób reprodukują się przez kolejne pokolenia. Musimy pamiętać, że w wielu miastach, także w tych średnich i mniejszych, mieszka ludność, która napłynęła po wojnie z biedniejszych obszarów. Mamy zatem do czynienia ze społecznościami, które dość niedawno się uformowały i funkcjonują w rozdarciu między kulturą zastaną w miejscu osiedlenia a przywiezioną z ziemi przodków.

Trzeba by więc popracować nad integracją tych społeczności wewnątrz i między sobą. Można wesprzeć je w procesie samoorganizowania sieci wymiany wiedzy i doświadczeń: seminariów, warsztatów, szkoleń itd., żeby samodzielnie wypracowywały najlepsze dla nich rozwiązania i własny, pomostowy kapitał społeczny, tworzący przeciwwagę dla interesów i potencjału większych miast (myślących głównie o swoich interesach).

MS: Super pomysł! Wyobraźmy sobie, że małe miasteczka tworzą sieciową aglomerację prowadzącą własną politykę rozwojową. W ten sposób mogłyby stać się konkurencyjne względem metropolii. Co najmniej kilka istotnych składników takiej polityki doprowadziłoby do odporności na różnice geograficzne (dystanse), czyli wyzwania transportowe. Może to właśnie taka sieć szybciej upowszechniałaby innowacje niż metropolitalne „tłuste koty”?

Przypomina mi to ideę tzw. małych ojczyzn, która była wcielana w życie po 1989 roku w celu dowartościowania i ożywienia mniejszych ośrodków miejskich i w ogóle prowincji i wsi. Przyjmowała ona formę programów telewizyjnych, reportaży, ale także dotacji na najlepsze projekty rozwojowe, przyznawane m.in. przez nieistniejącą już Fundację Kultury, jak również przez państwo – w późniejszych programach, takich jak Dom Kultury+ czy Biblioteka+.

Dziś mamy znacznie większą wiedzę na temat efektywnego wspierania rozwoju lokalnego i większy wachlarz lokalnych możliwości. Na naszych oczach powstaje coś w rodzaju nowego programu małych ojczyzn. Ważną rolę do odegrania mają tu animatorzy życia społeczno-kulturalnego, którzy są aktywni w środowisku tzw. ruchów miejskich, sektorze NGO czy instytucjach kultury. Niestety, mimo mnogości podejmowanych działań, wciąż są bardzo niedoceniani. Może byłby to jakiś nowy kierunek kształcenia? *Know-how* mamy tu spory. To mi zresztą przypomina pewną strategię (zastosowaną podobno przez polskie harcerstwo w okolicznościach kryzysu struktur lokalnych), polegającą na przerzuceniu liderów i działaczy z górnych warstw hierarchii organizacyjnej na sam dół, aby organizowali struktury terenowe.

WK: Podkreślenie roli animatorów jest dobrą pointą naszej rozmowy. Ludzie animujący w małych ośrodkach aktywność społeczną, kulturalną, sportową, edukacyjną i gospodarczą to być może nasza najskuteczniejsza armia w walce z tym kryzysem. Musimy ich kształcić, motywować, doceniać i godziwie wynagradzać. Bo od nich zależy, czy nasze miasta zdążą wyhamować przed przepaścią.

”

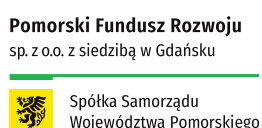
Dziś mamy znacznie większą wiedzę na temat efektywnego wspierania rozwoju lokalnego i większy wachlarz lokalnych możliwości. Na naszych oczach powstaje coś w rodzaju nowego programu małych ojczyzn. Ważną rolę do odegrania mają tu animatorzy życia społeczno-kulturalnego. Musimy ich kształcić, motywować, doceniać i godziwie wynagradzać. W dużej mierze od nich zależy, czy nasze miasta zdążą wyhamować przed przepaścią.

O rozmówcach

Marcin Skrzypek – działacz społeczno-kulturalny w Lublinie, pracownik lubelskiego Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN” i muzyk folkowej Orkiestry św. Mikołaja. Z wykształcenia anglista. Z zamiłowania analityk kultury i publicysta. Ostatnio współautor aplikacji Lublina do tytułu ESK 2016 oraz *Strategii Rozwoju Lublina 2020*. Popularyzator kultury przestrzeni, partycypacji społecznej i tzw. kultury szerokiej (d.i.y, kultury niszowe itp.). Członek Rady Programowej Kongresu Obywatelskiego.

Wojciech Kłosowski – niezależny ekspert samorządowy, specjalista w zakresie zagadnień rozwoju lokalnego oraz planowania i zarządzania strategicznego. Jest doradcą ds. strategii miejskich w Związku Miast Polskich. Członek Rady Programowej Kongresu Obywatelskiego.

Partnerzy



Partnerzy numeru

